



TEN INNY MINISTER

Dochodziła północ. Premier siedział samotnie w swoim gabinecie, czytając długą notatkę służbową, której treść prześlizgiwała się przez jego mózg, nie pozostawiając w nim żadnego śladu. Czekał na telefon od prezydenta pewnego dalekiego kraju i prócz powracającego wciąż pytania, kiedy ten przeklęty facet wreszcie zadzwoni, oraz nieprzyjemnych wspomnień długiego, męczącego i ciężkiego tygodnia, od których daremnie próbował się uwolnić, w jego głowie niewiele już pozostawało miejsca na cokolwiek innego. Im bardziej starał się skupić na leżącej przed nim notatce, tym wyraźniej widział triumfującą twarz jednego ze swoich politycznych przeciwników. Polityk ten wystąpił w ostatnich *Wiadomościach*, nie tylko wyliczając wszystkie okropne wydarzenia, które miały miejsce w minionym tygodniu (jakby komukolwiek trzeba było to przypominać), lecz także wyjaśniając, dlaczego za każde z nich odpowiedzialny jest rząd.

Puls premiera przyspieszył gwałtownie na samą myśl o tych niegodziwych i kłamliwych oskarżeniach. Bo niby jak, u diabła, jego rząd miał zapobiec zawaleniu się tego mostu?

To oburzające sugerować, że nie wydaje się dość pieniędzy na mosty! A ten nie miał jeszcze dziesięciu lat i nawet najlepszy eksperci nie potrafili powiedzieć, dlaczego nagle się załamał, co spowodowało zatopienie w głębinach rzeki tuzina przejeżdżających nim samochodów. I jak ktoś może twierdzić, że przyczyną tych dwóch ohydnych morderstw, tak skutecznie nagłośnionych przez media, jest niedostateczna liczba policjantów? Albo że rząd mógł jakoś przewidzieć ten niezwykle huragan w południowo-zachodniej Anglii, który spowodował tyle strat w ludziach i majątku? I czy to wina premiera, że jeden z jego podsekretarzy stanu, Herbert Chorley, akurat w tym tygodniu postanowił zachować się tak dziwacznie, że teraz będzie miał mnóstwo czasu, by zająć się swoją rodziną?

„W kraju panują złe nastroje”, zakończył swój wywód jego polityczny przeciwnik, nawet nie starając się ukryć uśmiechu satysfakcji.

To, niestety, było akurat prawdą. Premier sam to wyczuwał: ludzie byli przygnębieni bardziej niż zwykle. A jeszcze do tego ta parszywa pogoda, ta zimna mgła w środku lipca... przecież tak nie powinno być, to jakaś anomalia...

Przewrócił stronę noty, żeby zobaczyć, ile jeszcze zostało do końca, i postanowił dać sobie z nią spokój. Założywszy ręce za głowę, rozejrzał się ponuro po swoim gabinecie. Był to ładny pokój, z pięknym marmurowym kominkiem naprzeciw wysokich okien, teraz zamkniętych ze względu na niezwykle o tej porze roku zimno. Wzdrygnął się lekko, wstał, podszedł do okna i wpatrzył się w napierającą na szybę rzadką mgłę. I właśnie wtedy, gdy tak stał plecami do pokoju, usłyszał za sobą ciche kasznięcie.

Zamarł twarzą w twarz ze swoim przerażonym odbiciem w szybie. Znał ten kaszel. Już kiedyś go słyszał. Odwrócił się bardzo powoli.

— Słucham? — rzucił w głąb pustego pokoju, starając się, by głos nie zdradził ogarniającej go irytacji.

Przez chwilę miał płonną nadzieję, że nikt mu nie odpowie. Odpowiedź nadeszła jednak natychmiast: oschły, stanowczy głos, który brzmiał tak, jakby ktoś odczytywał uprzednio przygotowane oświadczenie. A dobiegał — co było dla premiera oczywiście już po owym kaszlnięciu — od żabowatego człowieczka w długiej srebrnej peruce, namalowanego na małym i brudnym obrazie olejnym wiszącym w odległym kącie pokoju.

— Do premiera mugoli. Pilne spotkanie. Proszę o natychmiastową odpowiedź. Z poważaniem, Knot.

Człowieczek z obrazu spoglądał na niego pytająco.

— Eee... — mruknął premier — słuchaj pan... to nie jest odpowiedni moment... właśnie czekam na telefon... od prezydenta...

— To się da załatwić — odpowiedział bez wahania portret.

„No tak”, pomyślał ponuro premier. „Tego się właśnie obawiałem”.

— Ale ja naprawdę muszę teraz porozmawiać z...

— Zrobimy tak, że prezydent zapomni o tym telefonie. Teraz nie zadzwoni. Zadzwoni jutro wieczorem — oświadczył człowieczek. — Bardzo proszę natychmiast odpowiedzieć panu Knotowi.

— Ja... och... oczywiście — wyjąkał premier. — Tak, spotkam się z Knotem.

Wrócił pospiesznie do biurka, poprawiając po drodze krawat. Zaledwie usiadł i przybrał minę, która, jak miał nadzieję, wyrażała odprężenie i obojętność, nad pustym paleniskiem marmurowego kominka wystrzeliły jasne, zielone płomienie. Starając się nie okazać nawet śladu zaskoczenia lub strachu,

obserwował, jak w płomieniach pojawia się korpulentny jegomość, wirujący jak bąk. Po chwili mężczyzna ów wyszedł z kominka na piękny, stary dywan, otrzepując popiół z rękawów długiej, prążkowanej peleryny. W rękę trzymał cytrynowozielony melonik.

— Ach... otóż i pan premier — rzekł Korneliusz Knot, podchodząc do niego z wyciągniętą dłonią. — Miło mi pana znowu widzieć.

Premier nie był w stanie odpowiedzieć szczerze w podobnym stylu, więc nie powiedział nic. Nie odczuwał najmniejszej przyjemności na widok Knota, którego rzadkie wizyty nie tylko napędzały mu strachu, lecz oznaczały też zapowiedź jakichś bardzo złych wiadomości. Co więcej, tym razem Knot wyglądał o wiele gorzej niż zwykle. Schudł, trochę wyłysiał i posiwiał, a na jego twarzy malowało się przygnębienie. Premier widział już taki wyraz na twarzach polityków i nigdy nie wróżyło to niczego dobrego.

— W czym mogę panu pomóc? — zapytał, uściskawszy krótko dłoń Knota i wskazawszy mu najtwardsze krzesło przed swoim biurkiem.

— Sam nie wiem, od czego zacząć — mruknął Knot, i przysuwając sobie krzesło, na którym usiadł, położył cytrynowozielony melonik na kolanach. — Co za tydzień, co za tydzień...

— A więc dla pana też był ciężki, tak? — zapytał oschle premier, mając nadzieję, iż da swojemu gościowi do zrozumienia, że ma na głowie dość własnych kłopotów.

— Oczywiście — odrzekł Knot, masując sobie powieki i patrząc na niego pośpie. — Równie ciężki jak dla pana, panie premierze. Most Brockdale... śmierć Bones i Vance... że nie wspomnę już tego całego zamieszania w południowo-zachodniej części kraju...

— A więc pan... eee... pańscy... to znaczy... niektórzy z pańskich ludzi byli... zamieszani w te... w te sprawy, tak?

Knot obrzucił go niemal srogim spojrzeniem.

— Oczywiście. Chyba pan sobie zdaje sprawę, co się właściwie dzieje?

— Ja... — bąknął premier i się zawahał.

Właśnie tego rodzaju zachowanie sprawiało, że tak nie znosił wizyt Knota. Ostatecznie był premierem i nie mógł sobie pozwolić, by traktowano go jak uczniaka. A tak było zawsze, gdy pojawiał się Knot, już od jego wizyty w pierwszy wieczór po objęciu przez premiera stanowiska. Pamiętał ją tak dobrze, jakby to było wczoraj, i wiedział, że to wspomnienie będzie go prześladować aż do śmierci.

Był wówczas w tym samym co dziś gabinecie, napawając się w samotności swoim triumfem po tylu latach marzeń i intryg, kiedy usłyszał za sobą kaszlnięcie, tak jak dzisiaj, a gdy się odwrócił, stwierdził, że przemawia do niego ten okropny mały portret, obwieszczając, iż za chwilę pojawi się przed nim minister magii, by mu się przedstawić.

Oczywiście pomyślał wówczas, że dręczą go omamy, będące skutkiem długiej kampanii wyborczej i napięcia towarzyszącego samym wyborom. Przeraził się, słysząc przemawiający do niego portret, ale okazało się, że na tym nie koniec, bo oto z kominka wyskoczył jakiś samozwańczy czarodziej i uściskał mu dłoń. Oniemiały słuchał, jak Knot wyjaśnia mu uprzejmie, że na całym świecie wciąż żyją w ukryciu czarodzieje i czarownice, a przy tym zapewnia, iż premier nie musi sobie tym zaprzątać głowy, bo odpowiedzialność za całą tę czarodziejską społeczność spoczywa na Ministerstwie Magii, które dba, by nie dowiedzieli się o niej zwykli, niemagiczni obywatele. To bardzo trudne zadanie, obejmujące spory zakres obowiązków, od dbania o odpowiedzialne użycie latających

miotół do utrzymania pod kontrolą populacji smoków (zapamiętał, że w tym momencie musiał mocno chwycić się krawędzi biurka). Następnie Knot po ojcowsku poklepał go po ramieniu i rzekł:

— Proszę się nie martwić. Być może więcej mnie pan nie zobaczy. Będę pana niepokoił tylko wtedy, gdy po naszej stronie wydarzy się coś naprawdę poważnego, coś, co mogłoby dotknąć mugoli... to znaczy niemagicznych obywateli. Jeśli do niczego takiego nie dojdzie, obowiązuje zasada: żyjmy i dajmy żyć innym. I muszę powiedzieć, że przyjął pan to o wiele lepiej niż pański poprzednik. On próbował wyrzucić mnie przez okno, myślał, że to jakiś głupi kawał ze strony opozycji.

W tym momencie premier odzyskał w końcu głos.

— A więc... więc to NIE jest... mistyfikacja?

To była jego ostatnia, rozpaczliwa nadzieja.

— Nie — odpowiedział łagodnie Knot. — Nie, raczej nie. Proszę spojrzeć.

I zamienił jego filiżankę w myszosczonek.

— Ale... — wyjąkał premier, obserwując, jak filiżanka nadgryza róg jego następnego przemówienia — ale dlaczego... dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

— Minister magii ujawnia się tylko przed każdym kolejnym premierem mugoli w pierwszym dniu jego urzędowania — oświadczył Knot, chowając różdżkę. — Uważamy, że to najlepszy sposób na zachowanie wszystkiego w tajemnicy.

— Ale... — wymamrotał premier — dlaczego poprzedni premier nie ostrzegł mnie...

Knot się roześmiał.

— Drogi panie premierze, a czy PAN zamierza komuś o tym powiedzieć?

Wciąż chichocząc, Knot wrzucił do kominka szczyptę jakiegoś proszku, wkroczył w szmaragdowe płomienie i zniknął

z krótkim świstem. Skamieniały z wrażenia premier zdał sobie sprawę, że nigdy, póki żyje, nie wspomni nikomu o tym spotkaniu, bo kto by mu uwierzył?

Po jakimś czasie otrząsnął się z szoku i zaczął sam siebie przekonywać, że Knot był halucynacją wywołaną brakiem snu podczas wyczerpującej kampanii wyborczej. Żeby uwolnić się od wspomnienia o tym niemiłym spotkaniu, podarował myszokoczka zachwyconej siostrzenicy i kazał swojemu osobistemu sekretarzowi usunąć portret owego odrażającego człowieczka, który zapowiedział wizytę Knota. Okazało się jednak, że portretu nie da się zdjąć ze ściany. Próbowало tego dokonać kilku stolarzy i murarzy, jeden historyk sztuki i minister skarbu — na próżno. W końcu premier zrezygnował, mając nadzieję, że ta szkarada nie odezwie się więcej aż do końca jego urzędowania. Od czasu do czasu miał wrażenie, że kątem oka dostrzega, jak człowieczek w peruce ziewa albo drapie się po nosie, a raz wylazł z ram, pozostawiając za sobą kawałek brudnobrązowego płótna. Premier zdołał jednak opanować umiejętność niespoglądania zbyt często na obraz, a kiedy już dostrzegł coś podobnego, wmawiał sobie, że to złudzenie optyczne.

A potem, trzy lata temu, w wieczór bardzo podobny do dzisiejszego, portret znowu przemówił, zapowiadając rychłą wizytę Knota, który wyskoczył z kominka, ociekając wodą, w stanie wyraźnej paniki. Zanim premier zdążył go zapytać, dlaczego nieproszony gość moczy mu drogocenny dywan szenilowy, Knot zaczął opowiadać o jakimś więzieniu, o którym premier nigdy nie słyszał, o człowieku zwanym „Seryjnym” Blackiem, o czymś, co brzmiało jak Hogwart, i o jakimś chłopcu, Harrym Potterze. Premier nic z tego nie zrozumiał.

— ...właśnie wracam z Azkabanu — wydyszał Knot, przelewając wodę z ronda swego melonika do kieszeni. —

Wie pan, to pośrodku Morza Północnego, okropna podróż... Dementorzy się wściekli... — tu się wzdygnął — jeszcze nigdy nikt stamtąd nie uciekł. W każdym razie musiałem się z panem zobaczyć, panie premierze. Black to znany morderca mugoli i być może planuje przyłączenie się do Sam Pan Wie Kogo... no tak, ale pan przecież nie wie, kim jest Sam Pan Wie Kto! — Przez chwilę wpatrywał się z nadzieją w premiera, a potem dodał: — No dobrze, niech pan siada, niech pan siada, zaraz panu wyjaśnię... niech się pan napije whisky...

Premier usiadł, choć poczuł się trochę urażony tym, że każe mu się siadać w jego własnym gabinecie i częstuje jego własną whisky. Knot wyciągnął różdżkę, wyczarował znikąd dwie wielkie szklanki pełne bursztynowego płynu, wetknął jedną w dłoń premiera i przysunął sobie krzesło.

Jego opowieść trwała ponad godzinę. W pewnym momencie nie chciał wymówić głośno jakiegoś nazwiska, więc napisał je na kawałku pergaminu i wcisnął go premierowi w tę rękę, w której nie trzymał whisky. Kiedy w końcu wstał, aby się pożegnać, premier również podniósł się z krzesła.

— Więc uważa pan, że... — tu premier zerknął na trzymany w ręku pergamin — że ten Lord Vol...

— TEN, KTÓREGO IMIENIA NIE WOLNO WYMAWIAĆ! — warknął Knot.

— Proszę mi wybaczyć... a więc sądzi pan, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać wciąż żyje?

— Cóż, Dumbledore twierdzi, że żyje — odrzekł Knot, zapinając pod szyją swoją prążkowaną pelerynę — ale dotąd go nie znaleźliśmy. Uważam, że nie jest groźny, dopóki nie otrzyma od kogoś pomocy, więc powinniśmy raczej skupić się na Blacku. A więc każe pan opublikować to ostrzeżenie, tak? Wspaniale. No cóż, mam nadzieję, panie premierze, że więcej się nie zobaczymy! Dobrej nocy.

Ale nie było to ich ostatnie spotkanie. Prawie rok później wyraźnie przygnębiony Knot znowu pojawił się w gabinecie premiera, aby go poinformować, że podczas mistrzostw świata w kwiktyciu (w każdym razie tak to jakoś brzmiało) doszło do rozruchów, w które „zamieszanych” było kilku mugoli, ale że premier nie powinien się tym niepokoić; to, że znowu pojawił się znak Sam Pan Wie Kogo, nic jeszcze nie znaczy, to tylko pojedynczy przypadek i Urząd Łączności z Mugolami już się zajął modyfikacją pamięci owych mugoli.

— Aha, byłbym zapomniał — dodał Knot. — Sprawadzamy z zagranicy trzy smoki i jednego sfinksa na Turniej Trójmagiczny, to nic ważnego, ale Urząd Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami twierdzi, że zgodnie z przepisami musimy powiadamiać pana o każdym przywozie niebezpiecznych zwierząt.

— Ja... co... SMOKI? — wyjąkał premier.

— Tak, trzy — odrzekł Knot. — I sfinksa. No to życzę miłego dnia.

Premier miał nadzieję, że po smokach i sfinksach nic gorszego już nie usłyszy, ale się pomylił. Nie minęły dwa lata i Knot znowu wyłonił się z płomieni, tym razem z wiadomością, że w Azkabanie doszło do masowej ucieczki.

— Do MASOWEJ ucieczki? — powtórzył ochryplym głosem premier.

— Nie ma powodu do paniki! — zawołał Knot, z jedną nogą już w płomieniach. — Osaczymy ich w najbliższym czasie! Po prostu uznałem, że powinien pan o tym wiedzieć!

I zanim premier zdolał krzyknąć: „Zaraz, proszę zaczekać!”, Knot zniknął w pióropuszu zielonych iskier.

Bez względu na to, co o tym mogły sądzić media i opozycja, premier nie był głupcem. Nie umknął jego uwadze fakt, że pomimo zapewnień Knota podczas jego pierwszej wizyty

widywali się teraz dość często oraz że za każdym razem Knot jest coraz bardziej zdenerwowany. Premier wołał raczej nie myśleć o ministrze magii (albo o „tym innym ministrze”, jak zwykł go nazywać), ale nie mógł się wyzbyć obawy, że jego następna wizyta będzie oznaczała jeszcze gorsze wiadomości. Dlatego widok Knota ponownie wychodzącego z kominka, w tak żalosnym stanie i w dodatku poważnie zaskoczonego tym, że premier najwyraźniej nie zna powodu jego wizyty, był najgorszą rzeczą, jaka mu się przytrafiła w tym wyjątkowo ponurym tygodniu.

— A niby skąd mam wiedzieć, co się dzieje w... ee... społeczności czarodziejów? — warknął. — Mam całe państwo na głowie i akurat teraz dość własnych kłopotów bez...

— Mamy te same kłopoty — przerwał mu Knot. — Most Brockdale nie załamał się ze starości. To wcale nie był huragan. Te morderstwa nie były dziełem mugoli. A rodzina Herberta Chorleya będzie bezpieczniejsza bez niego. Właśnie czynimy przygotowania do przeniesienia go do Kliniki Magicznych Chorób i Urazów Szpitala Świętego Munga. Odbędzie się to dziś w nocy.

— Co pan... obawiam się, że... CO?! — wybuchnął premier.

Knot zrobił głęboki wdech i rzekł:

— Panie premierze, bardzo mi przykro, ale muszę pana powiadomić, że on wrócił. Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać.

— Wrócił? Chce pan powiedzieć, że on... on żyje? To znaczy...

Premier sięgnął pamięcią do szczegółów tej okropnej rozmowy sprzed trzech lat, kiedy Knot opowiedział mu o czarodzieju, który wszystkich napawa panicznym strachem i który

popęłnił tysiące straszliwych zbrodni, zanim zniknął w tajemniczy sposób piętnaście lat temu.

— Tak, żyje — powiedział Knot. — To znaczy... sam już nie wiem... Czy człowiek, którego nie można zabić, żyje? Doprawdy, nie pojmuję tego, a Dumbledore nie chce lub nie potrafi tego do końca wyjaśnić... W każdym razie nie ulega wątpliwości, że ma ciało, że chodzi, mówi i zabija, więc na użytek naszej rozmowy chyba można uznać, że tak, żyje.

Premier nie bardzo wiedział, co na to powiedzieć, ale tak już mu weszło w krew udawanie dobrze poinformowanego na każdy temat, że uznał za stosowne nawiązać do jakiegoś szczegółu zapamiętanego z ich poprzednich rozmów.

— A ten „Seryjny” Black... czy on jest z... ee... Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać?

— Black? Black? — powtórzył Knot z roztargnieniem, szybko obracając w rękach melonik. — Ma pan na myśli Syriusza Blacka? Na brodę Merlina, nie. Black nie żyje. To była nasza... ee... pomyłka. Okazało się, że był niewinny. I wcale nie spiskował z Tym, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać. To znaczy — dodał usprawiedliwiającym tonem, jeszcze szybciej kręcąc melonikiem — wszystko na to wskazywało... mieliśmy ponad pięćdziesięciu naocznych świadków... No cóż, w każdym razie on już nie żyje. Został zamordowany. Na terenie Ministerstwa Magii. Ma być przeprowadzone dochodzenie...

Premier, ku swemu ogromnemu zdumieniu, przez chwilę poczuł wobec Knota współczucie, które jednak natychmiast przyćmił blask zadowolenia z tego, że choć sam nie opanował sztuki materializowania się w kominkach obcych ludzi, to za JEGO kadencji jeszcze nikogo nie zamordowano w żadnym z rządowych gmachów... w każdym razie do tej pory...

Premier ukradkiem odpukał w biurko, a Knot ciągnął dalej:

— Ale Black to teraz pestka. Jesteśmy w stanie wojny, ot co, panie premierze, i musimy podjąć odpowiednie kroki.

— W stanie wojny? — powtórzył nerwowo premier. — Chyba pan trochę przesadził.

— Do Tego, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać przyłączyli się ci z jego zwolenników, którzy w styczniu uciekli z Azkabanu — powiedział Knot. Mówił coraz szybciej i kręcił melonikiem tak zawzięcie, że widać było tylko cytrynowo-zieloną smugę. — Teraz są na wolności i sięją spustoszenie. Most Brockdale to jego dzieło, panie premierze. Zagroził, że dokona masowych mordów na mugolach, jeśli nie dam mu wolnej ręki i...

— Wielki Boże, więc to PANA вина, że zginęli ci ludzie, a ja muszę odpowiadać na pytania o przerdzewiałe olinowanie, skorodowane złącza dylatacyjne i nie wiadomo o co jeszcze! — wybuchnął premier.

— Moja вина! — zachnął się Knot, oblewając się rumieńcem. — Pan by się oparł takiemu szantażowi?

— Może i nie — odrzekł premier, po czym wstał i zaczął chodzić po gabinecie — ale ja uczyniłbym wszystko, żeby złapać szantażystę, zanimby się dopuścił takich okropieństw!

— Czy pan naprawdę sądzi, że nie robię już wszystkiego, co w mojej mocy? — zaperzył się Knot. — Każdy auror w moim ministerstwie próbował już... i nadal próbuje... odnaleźć go i osaczyć jego zwolenników, ale tak się składa, że mówimy tu o jednym z najpotężniejszych czarodziejów wszech czasów, o czarodzieju, którego nie udaje nam się schwytać od prawie trzech dziesięcioleci!

— Więc chce mi pan powiedzieć, że to on spowodował również ten huragan w południowo-zachodniej Anglii, tak?

— zapytał premier, który z każdym krokiem coraz bardziej tracił nerwy.

Ogarniała go wściekłość na samą myśl o tym, że kiedy już poznał prawdziwą przyczynę tych wszystkich strasznych nieszczęść, nie może tego publicznie powiedzieć. Już nie wiedział, co jest gorsze — niemożność ujawnienia prawdy czy pozostanie przy tym, że to jednak wszystko wina rządu.

— Nie było żadnego huraganu — mruknął Knot.

— Słucham? — obruszył się premier, który teraz już nie spacerował, tylko maszerował po pokoju jak żołnierz podczas zmiany warty. — Powyrywane drzewa, pozdzierane dachy, pogieęte latarnie, mnóstwo rannych...

— To byli śmierciożercy. Zwolennicy Tego, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać. I... i podejrzewamy też, że brał w tym udział olbrzym.

Premier zatrzymał się nagle, jakby natrafił na niewidzialną ścianę.

— KTO?!

Knot się skrzywił.

— Ostatnim razem, kiedy chciał uzyskać większy efekt, użył olbrzymów. Urząd Dezinformacji pracował na okrągło, mieliśmy zespoły amnezjatorów starających się zmodyfikować pamięć wszystkim mugolom, którzy widzieli, co się naprawdę wydarzyło, większość personelu Urzędu Kontroli nad Magicznymi Stworzeniami krążyła po całym hrabstwie Somerset, ale olbrzymia nie udało się nam zlokalizować. To prawdziwa klęska!

— Co też pan powie! — zadrwił ze złością premier.

— Nie przeczę, że morale pracowników ministerstwa jest obecnie dość niskie. A jeszcze do tego straciliśmy Amelię Bones.

— Kogo?

— Amelię Bones. Szefową Departamentu Przestrzegania Prawa Czarodziejów. Sądzymy, że Ten, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać zamordował ją osobiście, bo była bardzo uzdolnioną czarownicą i... i wszystko wskazuje na to, że przed śmiercią stoczyła zaciętą walkę.

Knot odchrząknął i — jak się wydaje, z wielkim wysiłkiem — przestał kręcić melonikiem.

— Ale przecież o tym morderstwie pisała prasa — powiedział premier, na chwilę zapominając o swoim wzburzeniu. — NASZA prasa. Amelia Bones... Pisali tylko, że była kobietą w średnim wieku i żyła samotnie. To był... odrażający mord. Poruszył opinię publiczną. Policja wciąż drecze w kółko.

Knot westchnął.

— Trudno się dziwić. Przecież zamordowano ją w pokoju zamkniętym od wewnątrz, prawda? A my, choć dobrze wiemy, kto to zrobił, nie możemy go schwytąć. No i była też Emmelina Vance, może pan o niej nie słyszał, ale...

— Ależ tak, słyszałem! To się wydarzyło niedaleko stąd, tuż za rogiem. Gazety szalały. „Pogwałcenie prawa w najbliższym sąsiedztwie siedziby premiera”...

— Mało tego — przerwał mu Knot, jakby go w ogóle nie słuchał — wszędzie aż się roi od dementorów, atakują ludzi gdzie popadnie...

Kiedyś, w dawnych, lepszych czasach, to zdanie byłoby dla premiera zupełnie niezrozumiałe, ale teraz był już mądrzejszy.

— Myślałem, że dementorzy strzegą więzienia w Azkabanie? — zauważył ostrożnie.

— Strzegli — odrzekł z westchnieniem Knot. — Ale już nie strzegą. Uciekli z Azkabanu i przyłączyli się do Tego, Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać. Nie będę ukrywał, że to dla nas potężny cios.

— Ale... czy nie mówił mi pan — zaczął premier, czując narastającą panikę — że to są potwory, które wysysają z ludzi nadzieję i szczęście?

— Zgadza się. A teraz się mnożą. To właśnie powoduje całą tę mgłę.

Premier opadł na najbliższe krzesło, czując, że zwiotczały mu kolana. Na myśl, że niewidzialne stwory włączą się po miastach i wioskach, siejąc panikę wśród jego wyborców i odbierając im wszelką nadzieję, zrobiło mu się słabo.

— Słuchaj, Knot, musisz coś z tym zrobić! To ty za to wszystko odpowiadasz, ty i twoje Ministerstwo Magii!

— Drogi panie premierze, czy pan naprawdę sądzi, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, nadal jestem ministrem magii? Wylali mnie trzy dni temu! Cała społeczność czarodziejów przez dwa tygodnie z hukiem domagała się mojej rezygnacji. Jeszcze nigdy nie byli tak zgodni od czasu, gdy objąłem urząd! — zakończył Knot, dzielnie próbując się uśmiechnąć.

Premierowi na chwilę odebrało mowę. Mimo całego oburzenia wobec sytuacji, w której się znalazł nie ze swojej woli, poczuł litość dla tego wyraźnie załamanego człowieka siedzącego naprzeciw.

— Bardzo mi przykro — powiedział w końcu. — Czy jest coś, co mógłbym dla pana zrobić?

— To bardzo uprzejme z pana strony, panie premierze, ale nic już się nie da zrobić. Posłano mnie tutaj, żebym pana poinformował o bieżącej sytuacji i przedstawił mojego następcę. Powinien już tu być, ale oczywiście jest teraz bardzo zajęty, tyle ma na głowie...

Knot spojrzał na portret brzydkiego człowieczka w długiej, ufryzowanej srebrnej peruce, który właśnie grzebał sobie w uchu końcem pióra. Człowieczek dostrzegł jego spojrzenie i rzekł:

— Będzie tu za chwilę, właśnie kończy list do Dumbledore'a.

— Życzę mu powodzenia — mruknął z goryczą Knot. — Przez ostatnie dwa tygodnie pisałem do Dumbledore'a dwa razy dziennie, ale nie chciał zmienić swego stanowiska. Gdyby tylko zechciał namówić tego chłopca, prawdopodobnie byłbym nadal... No cóż, może Scrimgeour zdoła go przekonać.

Zamilkł, wyraźnie rozgoryczony, ale po chwili ciszę przerwał portret przemawiający teraz suchym, urzędowym tonem:

— Do premiera mugoli. Pożądane spotkanie. Pilne. Proszę o natychmiastową odpowiedź. Rufus Scrimgeour, minister magii.

— Tak, tak, dobrze — odpowiedział z roztargnieniem premier i już prawie się nie wzdrygnął, kiedy płomienie w kominku zrobiły się szmaragdowe i wybuchły wysoko, a wśród nich pojawił się kolejny czarodziej wirujący jak bąk wokół własnej osi, by po chwili wyskoczyć na drogocenny stary dywan.

Knot powstał, a premier po chwili wahania uczynił to samo, patrząc, jak nowo przybyły prostuje się, otrzepuje pył z długiej, czarnej szaty i rozgląda się po pokoju.

Pierwszą, nieco głupią myślą premiera na widok Rufusa Scrimgeoura było skojarzenie ze starym lwem. W grzywie płowych włosów i w krzaczastych brwiach bieleły się siwe pasemka, spoza drucianych okularów wyzierały czujne, żółtawe oczy, a w całej postaci była jakaś szlachetna smukłość i sprężystość, mimo że lekko utykał. Od razu było widać, że to człowiek sprytny i twardy. Premier pomyślał, że dobrze rozumie, dlaczego społeczność czarodziejów wołała Scrimgeoura od Knota jako przywódcę w tak groźnych czasach.

— Jak się pan miewa? — zapytał uprzejmie, wyciągając rękę.

Scrimgeour uściśnął ją krótko, lustrując wzrokiem pokój, po czym wyciągnął zza pazuchy różdżkę.

— Knot wszystko panu powiedział? — zapytał, podchodząc do drzwi i stukając różdżką w dziurkę od klucza.

Premier usłyszał szcęk zamka.

— Ee... tak — odrzekł. — I jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wołałbym, żeby drzwi pozostały otwarte.

— A ja wołałbym, żeby mi nie przerywano — burknął Scrimgeour — i żeby mnie nie podglądano — dodał, celując różdżką w okna, co spowodowało natychmiastowe zasunięcie się zasłon. — No, ale mam dość spraw na głowie, więc od razu przejdźmy do rzeczy. Przede wszystkim musimy przedyskutować sprawę pańskiego bezpieczeństwa.

Premier wyprostował się z godnością i odrzekł:

— Jestem całkowicie zadowolony z tych środków bezpieczeństwa, którymi już dysponuję. Bardzo dziękuję...

— Ale my nie jesteśmy — przerwał mu Scrimgeour. — Marna przyszłość czekałaby mugoli, gdyby ich premier znalazł się pod działaniem zaklęcia Imperius. Ten nowy sekretarz w pańskim biurze...

— Nie zamierzam się pozbywać Kingsleya Shacklebolta, jeśli to pan sugeruje! — zaperzył się premier. — To bardzo wydajny pracownik, robi dwa razy więcej od całej reszty...

— Bo jest czarodziejem — powiedział Scrimgeour z kamienną twarzą. — Bardzo wykwalifikowanym aurorem, który ma za zadanie czuwać nad pańskim bezpieczeństwem.

— Zaraz, chwileczkę! — zawołał premier. — Nie może pan tak po prostu wprowadzać swoich ludzi do mojego biura! To ja decyduję, kto dla mnie pracuje...

— Myślałem, że jest pan zadowolony z Shacklebolta — zauważył chłodno Scrimgeour.

— Jestem... to znaczy... dotąd byłem...

— A więc nie ma problemu, tak?

— Ja... No cóż, dopóki będzie tak świetnie... wywiązywać się ze swoich obowiązków... — wyjąkał premier, ale Scrimgeour sprawiał wrażenie, jakby go w ogóle nie słuchał.

— Teraz co się tyczy Herberta Chorleya... pańskiego podsekretarza stanu. Tego, który zabawiał publiczność, udając kaczkę.

— O co tym razem chodzi? — zapytał premier.

— To oczywiste, że zareagował tak, będąc pod działaniem niezbyt wprawnie rzuconego zaklęcia Imperius. Przyćmiło mu mózg, ale nadal może być niebezpieczny.

— On tylko kwacze — zaprotestował cicho premier. — Jak sobie trochę odpocznie... trochę się rozluźni... ograniczy picie...

— Właśnie teraz bada go zespół uzdrowiaczy ze Szpitala Świętego Munga. Na razie próbował udusić trzech z nich. Myślę, że najlepiej będzie usunąć go na jakiś czas ze społeczności mugoli.

— Ja... No cóż... ale wyzdrowieje, prawda? — zapytał z niepokojem premier.

Scrimgeour tylko wzruszył ramionami i skierował się w stronę kominka.

— To już wszystko, co chciałem panu powiedzieć. Będę pana na bieżąco informował o rozwoju sytuacji, panie premierze... a w każdym razie, jeśli będę zbyt zajęty, co jest bardzo prawdopodobne, przyślę tu Knota. Zgodził się zostać moim doradcą.

Knot próbował się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło — wyglądał, jakby rozbolał go ząb. Scrimgeour pogrzebał w kieszeni, wyjął szczyptę tajemniczego proszku i sypnął nim w płomienie, które natychmiast rozbłysły i pozieleniały. Premier popatrzył na nich zrozpaczonym wzrokiem, a potem

z jego ust wyrwały się w końcu słowa, które dusił w sobie przez cały ten wieczór:

— Ale... na miłość boską... przecież jesteście CZARODZIEJAMI! Znać się na MAGII! Na pewno możecie poradzić sobie z... no... ze WSZYSTKIM!

Scrimgeour odwrócił się powoli i wymienił zdziwione spojrzenie z Knotem, który teraz wreszcie się uśmiechnął, mówiąc:

— Problem w tym, panie premierze, że tamci też znają się na magii.

Po czym obaj czarodzieje wkroczyli jeden po drugim w jadownicę zielone płomienie i znikli.